

Bernhard Hartmann
Podziękowanie

Wielce szanowni Państwo, drodzy Przyjaciele i Koledzy!

Dobrze pamiętam jeszcze zdanie, jakim kolega ze studiów skwitował kiedyś długie i bezowocne starania naszego wspólnego znajomego o pracę na uniwersytecie: „A teraz, żeby wyjść z tej sytuacji z twarzą, nazywa siebie tłumaczem.” Zabolaty mnie te słowa, bo sam męcząc się akurat wtedy z polonistycznym doktoratem, rozważałem zajęcie się przekładem jako alternatywą dla pracy naukowej. Wszelako i mnie perspektywa ta jawiła się jako rozwiązanie awaryjne, bowiem nie znałem nikogo, dla kogo tłumaczenie byłoby czymś więcej aniżeli tylko raczej kiepsko opłacanym sposobem na życie. Nie jest więc sprawą taką całkiem oczywistą, że oto stoję tutaj dzisiaj przed Państwem jako tłumacz tekstów literackich i naukowych. Do uprawiania tego wolnego zawodu przywiodły mnie dopiero brzemiennie w skutki spotkania i doświadczenia.

Początek tym spotkaniom dał Tadeusz Różewicz, który jesienią 2004 r. pod koniec rozmowy, jaką przeprowadziłem z nim dla pewnego czasopisma teatralnego, przekazał mi rękopis swojego wiersza *Cóż z tego że we śnie* (niem.: *Und sei's auch nur im Traum*), zgadzając się na przekład. Jeszcze dzisiaj dziwię się czasem, z jaką beztróską wielki poeta powierzył absolutnemu nowicjuszowi centralny tekst swojego późnego dzieła (bądź co bądź poddał rezultat mojej pracy ocenie niemieckich polonistów). Nie mniej ważna okazała się dla mnie wynikała z tego przekładu współpraca z czasopismem literackim „Sinn und Form“ i z jego surową, ale zawsze gotową do rozmowy panią redaktor Heide Lipecky, która bezlitośnie wytropiła każdą językową niedbałość i w długich rozmowach telefonicznych wyostrzała mój zmysł językowy przy poszukiwaniu najlepszych rozwiązań. Trzecim kamieniem milowym były prowadzone w październiku 2008 r. przez Dorotę Stroińską i Renate Schmidgall, wielce inspirujące niemiecko-polskie warsztaty tłumaczeniowe w krakowskiej Villi Decjusza. Uświadomiłem wtedy sobie, że to nie z chwilowych zawirowań w życiu czy też w wyniku jakiegoś kaprysu n a z y w a m siebie tłumaczem, ale nim rzeczywiście j e s t e m .

Zauważyłem to między innymi paradoksalnie dzięki temu, że nagle bez wahań n a z y w a ł e m siebie tłumaczem – a wcześniej często tego unikałem, mówiąc tylko, że „tłumaczę”. Przynajmniej przede wszystkim jednak praca przekładowa dała mi zaspokojenie, jakiej rzadko dostarczała mi praca naukowa. Mój entuzjazm dla teorii literackich i kulturowych stygł z biegiem lat poświęconych działalności naukowej, bowiem z każdą nową teoretyczną metapłaszczyzną rósł dystans do literatury, właściwego przedmiotu mojego pożądanego. Tłumaczenie natomiast wymagało cielesnego wręcz kontaktu, w bezpośrednim obcowaniu z różnymi tekstami mogłem i mogę oddać się miłości do słowa. Oczywiście, rychło się okazało, że nie każdy przekład może dać tyle samo zadowolenia.

Niektóre teksty są szorstkie, inne, pozbawione makijażu, tracą swój urok. Jeszcze inne interesują mnie tylko dlatego, że liczę na związane z nimi wiano, albo obiecuję sobie po nich jakąś inną korzyść. Niekiedy jednak przywiązuję się akurat do takich tekstów, które na pierwszy rzut oka wydawały mi się mało atrakcyjne. Te niespodzianki, które przynosi ze sobą zawód tłumacza, cenię sobie tak samo jak zmienny jego rytm: wyciszonej pracy przy domowym biurku oraz ożywionej komunikacji z autorami, redaktorami, kolegami, spotkań podczas odczytów, warsztatów itd.

Innym interesującym aspektem pracy przekładowej jest to, że zajmowanie się tym, co obce, prowadzi niekiedy do pełniejszego zrozumienia tego, co własne. Kiedy tłumaczę, to od pewnego punktu interesuje mnie w pierwszym rzędzie nie polski tekst wyjściowy, lecz poszukiwanie odpowiedniego niemieckiego wyrażenia. Pracuję wtedy już właściwie tylko ze słownikami i gramatykami niemieckimi, odkrywając przy tym regularnie bolesne luki, niekiedy jednak także niespodziewane wcześniej nowe możliwości wyrazu. Olśniło mnie to, kiedy zauważyłem to po raz pierwszy, przypominając mi pierwsze pobyty w Polsce. Byłem wtedy zafascynowany wieloma rzeczami, zdumiewały mnie różne sprawy, aż stwierdziłem któregoś razu, że moja fascynacja i zdumienie brały się stąd, że patrzyłem na Polskę niemieckimi oczami. Doświadczyłem także sytuacji, w których zwracano się do mnie jako Niemca, i w których byłoby rzeczą niestosowną odrzucać tę atrybucję, lub ją relatywizować, bowiem oznaczałoby to kwestionowanie fundamentalnej odmienności historycznego doświadczenia czy zbiorowego postrzegania Niemców i Polaków.

Być może właśnie to są te dwa filary egzystencji tłumacza: miłość do słowa, manifestująca się w intensywnych lekturach i w upartym poszukiwaniu właściwego słowa w języku docelowym, oraz świadomość elementarnej odmienności języków i kultur, która to poszukiwanie z jednej strony czyni koniecznym, a z drugiej ustawicznie je utrudnia.

Największą zaletą profesji tłumacza – w porównaniu z działalnością naukową – jest okoliczność, że nie trzeba poddawać swojej pracy bezustannej refleksji. Jeżeli jest dobrze, dzieci są zdrowe, a portfele zleceń pełne, to można tłumaczyć beztrudnie. Mimo to jednak odzywa się czasem we mnie naburmuszony naukowiec i chce dokładniej wiedzieć, co takiego porabiam. Odpowiadam raz tak, raz inaczej. Literackie teksty stawiają inne wymagania aniżeli naukowe, abstrahując już zupełnie od tłumaczenia konsekwentnego. No i nastrój odgrywa tu swoją rolę. W chwilach, kiedy nachodzi mnie duma z uprawianego kunsztu, uważam się za językowego rzeźbiarza, który kształty wykute przez autora w materii jego języka odtwarza w zupełnie odmiennym materiale własnego języka, zbliżając się niekiedy do leżącej u podstaw dzieła idei bardziej nawet aniżeli sam oryginał. W chwilach większej pokory widzę w sobie furmana, który tłucze się swoim wozem przez most pomiędzy językami i kulturami i musi ustawicznie przystawać, aby pozbierać to, co pospadało z

wozu – o ile, co nader często się zdarza, nie przetoczyło się ono już przez skraj mostu i nie zniknęło w przepaści.

Seite 3

Tak czy inaczej, będąc językowym kreatorem czy furmanem – jestem tłumaczem. Wszelako nie od tak dawna, abym serio mógł być się liczyć z możliwością przyjęcia do prześwieanego grona laureatów Nagrody im. Karła Dedeciusa. Tym bardziej dziękuję za ten honor jury nagrody, Niemieckiemu Instytutowi Spraw Polskich i Fundacji Roberta Boscha, która wspierała także wymianę szkolną, w której ramach trafiłem w 1989 r. po raz pierwszy do Polski.

Dziękuję bardzo!

(Tłumaczenie: Anna Wziątek)